



**You have downloaded a document from  
RE-BUS  
repository of the University of Silesia in Katowice**

**Title:** Wspomnienie Alicji Helman, cokolwiek osobiste, z czasów jej śląskiej przystani

**Author:** Andrzej Gwóźdź

**Citation style:** Gwóźdź Andrzej. (2021). Wspomnienie Alicji Helman, cokolwiek osobiste, z czasów jej śląskiej przystani. "Kwartalnik Filmowy" Nr 113 (2021), s. 225-231, doi 10.36744/kf.739



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI  
W KATOWICACH



Biblioteka  
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki  
i Szkolnictwa Wyższego

„Kwartalnik Filmowy” nr 113 (2021)

ISSN: 0452-9502 (Print) ISSN: 2719-2725 (Online)

<https://doi.org/10.36744/kf.739>

© Creative Commons BY-NC-ND 4.0

**Andrzej Gwóźdź**

Uniwersytet Śląski

<https://orcid.org/0000-0002-4779-5942>

# Wspomnienie Alicji Helman, cokolwiek osobiste, z czasów jej śląskiej przystani

## Słowa kluczowe:

Alicja Helman

## Abstrakt

Wspomnienie Profesor Alicji Helman (1935–2021).

Nie chcę pisać wspomnienia o Profesor Alicji Helman – za wcześniej! Nie chcę podsumowywać jej dorobku naukowego – będzie jeszcze na to czas i może nie mnie przyjdzie to zrobić – ani kreślić portretu swojej Mistrzyni. Nie chcę pisać o jej mądrze tolerancyjnym, wyzbytym małostkowości, a mimo to przecież opiekuńczym sposobie prowadzenia prac doktorskich (w dorobku promotorskim ma ich ponad 50!) – szanującym autora, taktownym. O jej dalekowzrocznej, nienachalnej opiece nad habilitantami, o wspaniałych inicjatywach wydawniczych i całej tej instytucjonalnej połówce pani Profesor; w ogóle o jej wyrozumiałym sceptycyzmie, który pomagał nam przenosić góry. W drugiej połówce to była Alicja pozainstytucjonalna, swoja i osobna. Ponad ćwierć wieku temu próbowałem poradzić sobie z ówczesnym dorobkiem naukowym Pani Profesor w ofiarowanym jej z okazji sześćdziesiątych urodzin tomiku *Kino według Alicji* pod redakcją Wiesława Godzica i Tadeusza Lubelskiego (Kraków 1995). Teraz jednak chcę tylko (i aż) wspomnienia Alicji, właśnie – Alicji, takiego, które nie zdołało jeszcze zastygnąć w pamięć o człowieku, pozostając nadal żywym spotkaniem z nim, obecnym tu i teraz.

Bo tak się właśnie z Alicją pożegnałem – w pogodny listopadowy dzień 2018 r. na hiszpańskim wybrzeżu Costa Blanca, nawet w towarzystwie rodziny. Jakżeż mieliśmy nie pojechać do Torrevieja, reklamowanego zresztą jako „miasto morza i soli”, skoro tam mieszkała Alicja, a my byliśmy w Alicante, ledwie godzinę drogi samochodem stamtąd!

Czujemy to wszyscy – jej uczniowie i przyjaciele – że odszedł ktoś, bez kogo już nic nie będzie takie, jakie było. Odczucie to bolesne zwłaszcza dla tych, i zwłaszcza z mojego pokolenia, którzy z Alicją Helman przemierzali naukowe szlaki, wzrastali w ferworze humanistycznych olśnień i uniesień, bo przecież we wszystkim, co Alicja robiła, pozostawała mądrą humanistką, dla której fascynacja filmem była częścią jej humanistycznej filozofii życiowej, a nie tylko rezultatem wyboru zawodowego. Rozumieliśmy to i dlatego tak bardzo ją ceniliśmy i kochaliśmy.

Był koniec lat 70. Spotykaliśmy się na rautach naukowych w jej domku na Gospodarce w Sosnowcu, bo w 1973 r. Gierek przeniósł Wydział Filologiczny do siebie, czyli do Sosnowca, który okazał się naszym matczynikiem. My – to znaczy świeżo upieczeni magistrowie filologii polskiej ze specjalizacją filmoznawczą (nie było jeszcze wtedy kulturoznawstwa, do którego dopiero aspirowaliśmy) i nasi nauczyciele akademicy, w większości wychowankowie Alicji, których przekonała do przyjazdu z Krakowa na Śląsk (kilku z nich, na przykład Wiesiek Godzic i Łukasz Plesnar – absolwenci krakowskiego Zakładu Teorii Filmu i Telewizji – było praktycznie naszymi rówieśnikami). Tu kiełkował mīt założycielski „śląskiego filmoznawstwa”, szybko przekuwany w konkret badawczy. Wtedy także zostaliśmy pasowani na przyjaciół Pani Profesor, która stawiała się dla nas Alicją. Nie pamiętam dokładnie, kiedy spotkało to mnie, ale na pewno przy okazji jakiejś konferencji naukowej, może jeszcze studenckiej, bo zachował się list napisany do „pana Andrzeja” (niestety bez daty), w którym pani Profesor aprobuje mój referat (pewnie prosiłem o jego ocenę) i zapowiada przybycie na moje wystąpienie. Późniejsze na „ty” nie miało jednak nic wspólnego z nonszalanckim kumplostwem ani protekcjonalizmem; przeciwnie, było zaproszeniem do współpracy opartej na partnerstwie i przyjaźni, a z naszej strony stanowiło zobowiązanie, by spełniać jej oczekiwania. Ot, serdeczna zażyłość najwyższej próby!

Wielu zresztą zazdrościło Alicji tego, że tak do niej lgnęliśmy, a filmoznawstwo miało się lepiej niż inne dyscypliny, wielu także próbowało od czasu do czasu zarzucać sieci na najlepiej rokujących absolwentów jej seminarium (do mojego przylgnęło akurat określenie „siedmiu wspańiałych”). Choć na ogół bezskutecznie, bo nawet jeśli trzeba było – jak w mojej sytuacji – zadowolić się przez jakiś czas połową etatu inżynierjno-technicznego (!), to i tak się to opłacało. W moim wypadku – i skorzystam tu z przywileju wspominającego – chodziło o coś jeszcze. Ówczesny dziekan chciał mnie „ukarać” za publikację w „Tygodniku Powszechnym” i „Znaku” (i w ogóle za „germanofilstwo”, potwierdzone ponoć podjęciem studiów germanistycznych otwartych właśnie w Sosnowcu), robił więc wszystko, by zablokować moje zatrudnienie. Alicja jednak nie dała za wygraną i tak, wbrew woli władz Wydziału, znalazłem się w gronie jej współpracowników (śląd tego pozostał w jej dedykacji z maja 1977 r. w moim egzemplarzu *Filmu faktów i filmu fikcji*).

Do naszego ścisłego grona należał wówczas najznamienitszy, nie tylko między nami, lingwista generatywista i największy globtroter spośród nas, Wacek Osadnik – dziś profesor slawistyki w kanadyjskim Edmonton, wtedy

owiany sławą stypendysty na Uniwersytecie Yale, zawsze w drodze, zawsze pomiędzy (już dokładnie nie pamiętam, ale wtedy chyba między Australią a Bułgarią – był bułgarystą – czort go wie). Należeli do niego również goście, którzy dojeżdżali na te sosnowieckie spotkania: z Łodzi – Tadeusz Szczepański, mądrze i pięknie opowiadający o Bergmanie i w ogóle o kinie skandynawskim, które znał jak nikt inny w Polsce (tak jest do dziś); z Krakowa – „Żuk” Opalski, który pokazywał nam, co znaczy męski urok i krakowski szarm, okraszone śpiewem operowym. Bywał z nami – ale to już w czasach magisterium na Wydziale Radia i Telewizji, a więc w pierwszej połowie lat 80. – zauroczony erudycją pani Docent student reżyserii Waldemar Krzystek (prowadziła jego magisterium na tym Wydziale), który swymi opowieściami (bodaj o *Francuskim łączniku* Williama Friedkina) dawał mimowolną próbkę reżyserskiego talentu. Snuł się też między nami pewien językoznawca, którego misję Alicja chyba szybko przejrzała, dając mu do zrozumienia, że nie jest mile widziany na spotkaniach, bo nic go nie łączy z filmem. To jego zasługa, że Łukasz Plesnar (oceny w indeksie wpisywał zielonym atramentem!) został niemal natychmiast po ogłoszeniu stanu wojennego internowany. W głowę zachodzę, czym akurat Łukasz mu się naraził, skoro wszyscy jak jeden mąż byliśmy potencjalnymi kandydatami do odsiadki, bo nasze spotkania kipiały od niecenzuralnych myśli, którym towarzyszył wspólny śpiew do upadłego ballad Wysockiego (z nieśmiertelną *Skatolazką* i pieśnią *Moskwa – Odessa* na czele). Czyżby tym, że to on wymyślał różne kalambury i łamigłówki z Leninem?

Przystanek sosnowiecki – między Krakowem a Krakowem, do którego Alicja powróciła w połowie lat 80. – okazał się dłuższą, bo dwunastoletnią przystanią, podczas której w roku 1974 powstało śląskie filmoznawstwo, zinstytucjonalizowane najpierw w postaci Zakładu Wiedzy o Filmie na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu (z siedzibą w Sosnowcu), a potem rozniecone także na inne zakłady o modyfikowanych nazwach, w tym na Wydziale Radia i Telewizji. Dla nas, bywalców „salonu” na Gospodarczej, równie ważne były jednak „lotne” spotkania grupy – na ogół w naszych domach – organizowane regularnie co miesiąc przez kolejnych członków Zakładu. To na nie przygotowywaliśmy się z tego, co Alicja akurat przełożyła (dla nas, niekoniecznie do publikacji). W naszych domach wykluwała się także „szkoła leopardów”. 15 grudnia 1981 r. spotkaliśmy się akurat u mnie, w Siemianowicach, ale Łukasza już wtedy z nami nie było. Dyskutowaliśmy, snuliśmy plany naukowe, choć też obawialiśmy się o nas samych i przyszłość naszego filmoznawstwa, które przecież łatwo można było zdjąć z uniwersyteckiej wokandy, wykreślić z programu studiów, nadać jedynie słuszny profil ideologiczny. Zawieszono zajęcia, a my dyskutowaliśmy o Lacanie! Nie żebyśmy byli nieczuli na zło, które działo się obok – to był taki rodzaj pracy organicznej, właściwy momentowi dziejowemu, który nas znienacka dopadł: dopiąć swego mimo wszystko! Mam jeszcze kilka wypływałych przebitek maszynowych z tamtych czasów: Lacana, Metza, kilka artykułów Alicji i osób zapraszanych do współpracy...

Zostaliśmy namaszczeni najpiękniejszą wolnością „dzieci Alicji” i to był bodaj największy dar, jaki mogliśmy od niej otrzymać. Zanurzyła nas w tej wolności – sama będąc wolna, dawała nam jej w nadmiarze: w naukowych wyborach, kluczowych decyzjach, nigdy nie epatując życiowymi mądrościami, choć my je i tak wyczytywaliśmy z jej ust. Zakład nie tylko przetrwał zawieruchę stanu wo-

jennego (a my w nim), ale rósł w siłę. W pewnym momencie rozgałęził się nawet na Wydział Radia i Telewizji (na przełomie lat 70. i 80. Alicja była przez jakiś czas dyrektorką Instytutu Reżyserii, Realizacji i Organizacji Produkcji) – studentów przybywało, a nam wraz z nimi obowiązków, bo trzeba było jeździć między Katowicami a Sosnowcem, czasem nawet tego samego dnia. Teraz z okna mieszkania z sentymentem spoglądam na ówczesny akademik wydziału (dziś czterogwiazdkowy hotel), na którym – nieskorzy do teoretyzowania – studenci reżyserii, operatorki i organizacji produkcji słuchali z zainteresowaniem i bez przymusu wykładów Alicji. Właśnie tam, w sojuszu teoretyków i praktyków, wykluwały się nowe przyjaźnie, na ogół wspańskie i długotrwałe.

No ale skąd te „leopardy”? A było tak. Tadeusz Lubelski, największy spośród nas spec od filmu polskiego (i tak zostało do dzisiaj), stał się mistrzem kawału o jakimś Masztalskim, który polował w Afryce na leopardy (spieszę z wyjaśnieniem, że Masztalski, śląski górnik, był bohaterem niezwykle popularnego kabaretu rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach w latach 80.). Na tę okoliczność Tadeusz nauczył się mówić po śląsku, bo choć gliwiczanie, to przecież z kresowym, nie-śląskim rodowodem. Powtarzał ten kawał, podatny na różne gierki semantyczne, podchwytywany i twórczo rozwijany na każdym spotkaniu zwłaszcza przez Łukasza, Genka Wilka i Wiesia Godzica. Nikt wtedy jeszcze nie łamał sobie głowy tym, czy to język, gwara czy „godka” – miało być „po śląsku” i było. Ja, rodowity Ślązak w naszej grupie (był jeszcze Ernest Wilde, który na stałe związał się z Wydziałem Radia i Telewizji), nie miałem tu już nic do roboty. Tym sposobem „leopardy” przylgnęły do nas wszystkich, stając się znakiem rozpoznawczym naszej wspólnoty, a Alicja bawiła się tą słowną przebieranką tak, że przez lata nie nazywała Lubelskiego inaczej niż właśnie „leopardem”.

Pozostała zresztą księga, w której to wszystko jest zapisane, a do której każdy coś od siebie wpisywał lub w niej wyrysowywał (Plesnar na przykład plakaty do filmów). Pojawiały się w niej fraszki i limeryki, no i przepisy na legendarne leopardzie drinki o smacznie brzmiących nazwach – ponętna była zwłaszcza Łza komsomołki, ale mocniej wrył mi się w pamięć Pies bez zmysłów, choć nie potrafiłbym ich już dzisiaj przyrządzić. Najślawniejsze ze spotkań u Alicji były „ryby” (przed Bożym Narodzeniem) i „zające”, które przetrwały czasy leopardzie i przeszły ze Śląska do Krakowa, ale „Ślązacy” też na nich bywali.

I nie byłoby w tym może nic szczególnie godnego wspomnienia, gdyby nie fakt już ściśle naukowy: otóż to właśnie wtedy powstała koncepcja „szkoły myśli filmowej Alicji Helman”. Jestem niemal pewny, że na pomysł wpadł Wacek Osadnik, który nie skrywał ambicji, aby wyprowadzić nas z naszymi teoriami w świat. Alicja zawsze temu sprzyjała – namawiała nas do zagranicznych wojaży, wysyłała na zagraniczne stypendia (a były to czasy, kiedy takie wyjazdy nie były oczywistością) i cieszyła się, gdy wypływaliśmy na szerokie wody. A my się jej potem odwiedzaliśmy, zapraszając do siebie, jeśli przychodziło na dłużej pobyt na jakimś zagranicznym stażu czy profesurze – do Kanady czy do Niemiec (dobrze pamiętam jej odwiedziny u mnie w Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim na początku lat 90.).

Zresztą Wacek miał w czym wybierać, bo pisaliśmy dużo i wydawaliśmy sporo. W dziesięcioleciu 1976-1986 tylko w wydawnictwie Uniwersytetu Śląskiego ukazało się bowiem (poza monografiami) jedenaście tomów zbiorowych, głównie



pod redakcją Alicji (i na ogół jeszcze kogoś z nas, zapraszanych każdorazowo do współpracy jako współredaktorów), a cykl zainaugurowany tomem *Z dziejów awangardy filmowej*, domknięty książką *Analizy i interpretacje. Film zagraniczny*, złożył się na jedyne w swoim rodzaju kompendium wiedzy filmoznawczej tamtego czasu (w dużym stopniu właśnie semiotycznej). I Wac (jak go nazywaliśmy) rozpowszechniał nasze prace z właściwą sobie przebojowością.

Najpierw, w 1988 r., podczas studiów postdoktoranckich w University of Queensland w australijskim Brisbane, wydał w nakładzie 400 egzemplarzy pod redakcją swoją i swojej asystentki (Alicji Z. Palki) dwutomową publikację *Polish Film Semiotics and Poetics*, uzupełniając grono „leopardów” o – zaprzyjaźnioną od zawsze z Alicją i z nami – Marylę Hopfinger, też semiotyczkę (choć wyznającą bardziej przyjazną wersję tej nauki), oraz przedstawicieli młodszego pokolenia badaczy: Dobrochnę Dabert z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, Seweryna Kuśmierczyka z Uniwersytetu Warszawskiego oraz Iwonę Kolasieńską z Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy dopiero rozpoczynali karierę naukową. Jest też z nami w książce „późny leopard”, dryfujący nieco na obrzeżach naszej fali, ale przecież swój, czynianin Marek Haltof, który wtedy właśnie przebywał na stypendium we Flinders University of South Australia w Adelajdzie (ach, ta Australia – aż prosi się, by zbadać jej wpływ na polskie filmoznawstwo!).

We wstępie do pierwszego tomu Wacek zrobił to, co zamierzał: wyjawiał rodowód autorów jako „grupy leopardów”, windując ją do rangi formacji polskiej semiotyki filmu. Trudno opisać, jak bardzo dawało nam to powód do dumy, zwłaszcza w tamtym czasie, kiedy zachodnie wydawnictwo (S. & B. Publishers) i miejscowości ze stopki redakcyjnej (Wien/Vienna – Sydney – Los Angeles), a przynajmniej dwie z nich, były praktycznie poza zasięgiem. Poza tym chyba niewielu naszych rówieśników akademickich mogło pochwalić się podobną światową marką w swoich publikacjach.

Potem, w roku 2001, większość tych artykułów (pochodzących z lat 1973-1986, ale już tylko autorów śląsko-krakowskich) znalazła się w tomie *Leopards: The Cracow-Silesian School of Film Semiotics and Poetics*, wydanym w Wiedniu jako czternasty tom prestiżowej serii *Angewandte Semiotik* pod redakcją Wacka i Jeffa Bernarda przez Austriackie Towarzystwo Semiotyczne (ÖGS) z godną dedykacją dla Alicji: *This Anthology of LEOPARDS' works on film semiotics and poetics is dedicated to Professor Alicja Helman as a „festschrift” from her pupils.*

Pech jednak chciał, że były to już czasy łabędziego śpiewu semiotyki jako dyscypliny naukowej – Alicja (a wraz z nią krakowski trzon zespołu śląskiego) przebywała od piętnastu lat w Krakowie, Wiesiek Godzic ulokował się (w 2000 r.) na warszawskiej SWPS (gdzie doczekał się stanowisk dziekana Wydziału Humanistycznego oraz prorektora Szkoły), Marek Haltof – drugi po Wacku światowiec w naszej grupie – osiadał właśnie w amerykańskim Marquette, gdzie mieszka nadal, zaś sam Wacek zamienił australijskie Brisbane na kanadyjskie Edmonton. Zresztą my, którzy zostaliśmy w Polsce, też coś z tego mieliśmy, przynajmniej kilkoro z nas, bo Wacek zapraszał nas do Edmonton z różnych naukowych okazji, z czego skwapliwie korzystaliśmy. Trochę przypadkowo zatem wiedeńska antologia stała się podsumowaniem semiotyczno-leopardziej fazy śląskiego filmoznawstwa, choć nie wszyscy w grupie za semiotyką przepadali. Agnieszka Nieracka i Alina Madej na przykład – „nie-leopardzice”, choć swoje – raczej po-

dejrzliwie spoglądały na nasze ekscesy, a byli i tacy, którzy nie wahali się włożyć naszych semiotycznych wynurzeń w usta samego Masztalskiego.

Jednak dla większości z nas semiotyka była w tamtym czasie największą przygodą intelektualną, do której lgnęliśmy jak pszczoły do ula. Jeździliśmy z Alicją na seminaria semiotyczne profesora Jerzego Pelca na Uniwersytecie Warszawskim (w jego Zakładzie Semiotyki Logicznej wydaliśmy też w 1993 r. – Alicja, Tadeusz Miczka i ja, wspólnie z krakowianinem Jackiem Ostaszewskim – drugi tom *Historii semiotyki filmu*); Tadeusz brał się za bary z *Semiotyką filmu* Jurija Łotmana (i wyszedł z tego zwycięsko); Alicja podsuwała do lektury piekielnie trudnego, psychoanalitycznego Metza (przetłumaczyła na potrzeby naszych spotkań pierwszą część jego *Le signifiant imaginaire*), a także spolszczone przez siebie fragmenty prac Noama Chomsky'ego (ukochanego badacza Wacka) i kogoś jeszcze. Co miesiąc wszyscy czekaliśmy na zieloną, teoretyczną wkładkę „Kina” (zniknęła wraz z nową mutacją pisma), której patronowała Alicja. Czytaliśmy jednak także przełożone przez nią prace myślicieli spoza obszaru semiotyki, na przykład Mitry'ego. Zresztą sama Alicja inspirowała nas do pracy tłumaczeniowej. W ten sposób powstał chociażby wydany w Krakowie w 1996 r. przekład *Sztuki filmowej* Lwa Kuleszowa (którego dokonała wraz z Kariną Banaszkiewicz i Wiesławem Godzicem) oraz bogaty zestaw źródeł w kilku antologiach. Alicja tłumaczyła sporo: spod jej pióra wyszedł przekład klasycznej pozycji z psychologii kina – *Dramatu kinowego. Studium psychologicznego* Hugo Münsterberga (Łódź 1989) oraz monumentalnego, trzytomowego dzieła *Styl i technologia filmu: historia i analiza* Barry'ego Salta (Łódź 2003), a także całe morze artykułów w czasopismach naukowych. Zawsze pisała piórem, a następnie dawała rękopisy do przepisania, najpierw na maszynie, potem na komputerze; z wizyt w jej krakowskim mieszkaniu pamiętam stosy starannie zapisanych kartek, które sprawiały wrażenie, jakby były już gotowe do druku.

Często organizowaliśmy wspólne wyjazdy – do Łodzi na seminaria profesora Bolesława W. Lewickiego i do Warszawy na cykl seminaryjny prowadzony przez profesora Aleksandra Jackiewicza w Instytucie Sztuki PAN (czyli niejako do domu, bo tam w 1955 r. Alicja rozpoczynała swoją karierę naukową), o licznych konferencjach – od Zakopanego po Supraśl – nie wspominając. Tych, których przyjęła do Zakładu już u schyłku okresu śląskiego – wypromowanych przez nią doktorów: Irka Siwińskiego (zmarł jako pierwszy spośród nas, zginął w wypadku samochodowym w 1996 r.) i Anitę Skwarę (z doktoratem pospieszyła za swoją Mistrzynią na UJ) – nadal darzyła matczyną opieką, drzwi jej krakowskiego mieszkania były dla nich zawsze otwarte, podobnie zresztą jak dla każdego z nas. Jeszcze nowsi w Zakładzie – Karina Banaszkiewicz, Jakub Zajdel, Piotr Zawojski – pamiętali ją wprawdzie dobrze z zajęć, ale dobrodziejstw „leopardziego” trybu życia już nie zaznali.

Alicja pracowała wtedy intensywnie nad *Przedmiotem i metodami filmoznawstwa* (Łódź 1985), którą to książkę poznawaliśmy na spotkaniach fragment po fragmencie, tak jak powstawała; fascynowała się komparatystyką w filmoznawstwie, dostrzegając w niej sposób nie tylko na owocne, ale i niezbędne wzbogacenie wiedzy o filmie doświadczeniami innych dyscyplin. Nie myliła się. Tylko do jednego odnosiła się sceptycznie: nie bardzo chciała widzieć filmoznawstwo zmałowane medioznawstwem, wołała je zachować jako znawstwo filmu. Ale też nie ukrywała przekonania, że nowe media odmieniają pozycje badawcze filmoznawcy, co nie

może pozostać bez wpływu na status dyscypliny. Toteż nie przeszkadzała nikomu, kto się na podobny mariaż dyscyplin decydował, a bywało, że niekiedy sama podobny zwrot inspirowała.

Śląskie lata Alicji to były świetne czasy dla nas i dobre dla polskiego filmoznawstwa w ogóle. Ale te nasze uniwersytety nie zakończyły się wraz z odejściem Alicji ze Śląska; trwały nadal, właściwie bez przerwy, bo niezależnie od tego, gdzie Alicja była, nie zmieniał się nasz wobec niej stosunek: pozostawała dla nas i pozostaje nadal Wielkim Autorytetem. Cieszyliśmy się więc bezmiernie i rozkoszowali jej obecnością, tym, że była, jest i będzie wśród nas. Wierzyliśmy, że tak pozostanie – ba, tego akurat byliśmy pewni.

Do 24 lutego tego roku...

### Andrzej Gwóźdź

Profesor w Instytucie Nauk o Kulturze Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Przez wiele lat był również pracownikiem naukowo-dydaktycznym Uniwersytetu Łódzkiego, a także profesorem gościnnym uniwersytetów w Konstancji i Szanghaju oraz wykładowcą uczelni w Holandii, Czechach, Niemczech i na Łotwie. Interesuje się teorią filmu i nowych mediów oraz antropologią obrazowości. Ostatnio wydał dwie monografie o kinie niemieckim: *Żaklinanie rzeczywistości. Filmy niemieckie i ich historie 1933–1949* (2018, 2. wyd. 2020) oraz *Kino na biegunach. Filmy niemieckie i ich historie 1949–1991* (2019), a także *Powtórkę z Kutza* (2019). Pomysłodawca i redaktor kilkudziesięciu antologii i tomów zbiorowych z zakresu teorii mediów, historii myśli filmowej, dziejów kina na Górnym Śląsku oraz poświęconych twórcom filmowym – w ostatnich latach ukazały się m.in.: *W poszukiwaniu polskiej Nowej Fali* (wspólnie z M. Wach, 2017), *Widzialność wyzwolona* (wspólnie z N. Gruenpeter, 2018), *Ź góry widać lepiej. Niedokończone rozmowy z Kazimierzem Kutzem. Rozmawiał Andrzej Gwóźdź* (2019). W latach 2005–2009 prezes Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego; w latach 2006–2014 redaktor naczelny kwartalnika „Kultura Współczesna”; inicjator i wiceprezes Polskiego Towarzystwa Badań nad Filmem i Mediami (od 2015).

**Keywords:**  
Alicja Helman

### Abstract

Andrzej Gwóźdź

**A Somewhat Personal Memory of Alicja Helman From the Time of Her Silesian Haven**

A Memory of Professor Alicja Helman (1935–2021).